EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 stycznia 1937 r. Rok IV, Nr. 2 (81)

Treść numeru:

START DEMOKRACJI POLSKIEJ

Przejmowanie obcych wzorów i metod działania, próby stosowania u nas formuł życiowych faszyzmu są głęboko uwarunkowane treścią psychiczną i socjalną naszego wstecznictwa. Te grupy schyłkowe, organicznie już niezdolne do tworzenia nowego życia, zaciemniać mogą jedynie przedświt odrodzenia narodu. W obliczu wielkich przemian i przeobrażeń społecznych i moralnych ich bezdziejowa już rola stawia je w nieubłaganie wrogiej pozycji wobec tych wielkich odłamów narodu, których naturalnym zadaniem i przeznaczeniem jest tworzyć nowe dzieje Polski.

Reakcja polska, obejmująca grupy historycznie już powalone, oglądać się musi na faszyzm, jako naturalnego sprzymierzeńca, zbrojnego w środki przemocy, krępujące i opóźniające pochód pracującej ludzkości do nowego bytu. I ona też właśnie, jako spadkobierczyni haniebnych ugodowych tradycji wobec zaborców, oraz tradycji czynnego wysługiwania się obcym w gnębieniu polskiej wolności, dziś z natury rzeczy stała się w życiu naszym transmisją, dopasowaną do kół obrotowych idei obcego faszyzmu. Tragizm reprezentacji strupieszałych społecznie żywiołów — płynie z bezowocnych, wieloletnich usiłowań opanowania państwa, któreby zapewnić mogło jeszcze na czas jakiś sztuczne jej trwanie społeczne. Z braku więc państwowych środków przymusu i przemocy, tak niezawodnie stosowanych przez faszyzm i hitleryzm wobec wszystkich sił odrodzeniowych, tkwiących w masach ludowych, — wstecznictwo nasze przeprowadziło ostatnio mobilizację swych zastępów, ażeby moralnie steroryzować żywioły wolności.

Pozytywna konstrukcja polskiej demokracji wyłania się już z chaosu naszej rzeczywistości. „Epoka" od pierwszej chwili swego wznowienia uzasadniała pogląd, że w poszukiwaniu i wskazywaniu dróg przyszłości Polska nie ma potrzeby zapożyczać się u sąsiadów, że czas położyć tamę tej ponurej niesławie, będącej jakby ostatnim refleksem zaborów, że w Polsce na forpocztach młodzieży ścierają się ze sobą tylko cudze myśli i obcy wodzowie.

Krew demokracji polskiej jest dostatecznie czerwona: nie potrzebuje obcych zastrzyków. Czując się spadkobierczynią tradycji ideowych od Worcella i Lelewela, aż do Limanowskiego i Daszyńskiego, demokracja polska wciąż jest gotowa do wielkich zadań dziejowych, powinna jak najprędzej się zespolić, na-

uczyć się nie tylko bronić, ale i atakować front faszystowsko-hitlerowskiej reakcji.

Ukuto dogmat, z którym reakcja obnosi się po Polsce: zbawienie od komunizmu spoczywa w faszyzmie, zatem — albo faszyzm albo komunizm.

Ponieważ ten niedorzeczny dogmat nie daje się pogodzić z doświadczeniem narodów wolnych, a rzeczywistość jawnie mu przeczy, jak np. we Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, lub w krajach Skandynawskich, rządzonych przez socjalistów, — apologeci totalizmu ogłaszają stan rzeczy w tych krajach za przejściowy i krótkotrwały. Wbrew jednak tym sugestjom, coraz wyraźniej daje się wyczuwać, że w miarę, jak tyrańskie dyktatury, oparte jedynie na sile bagnetu, obnażają swoje ubóstwo ideologiczne i moralne, swoją niemoc w sferze tworzenia i pomnażania dóbr materialnej i duchowej kultury, — demokracja podnosi głowę, odzyskuje swoje wiekowe prawa i swoją przewagę nad barbarzyńskim prostactwem totalizmu.

I na naszym gruncie rozwielmożniona reakcja próbuje siłą i gwałtem wprowadzać faszystowskie metody barbaryzowania życia polskiego. Sławetne uliczne i akademickie praktyki, haniebne teroryzowanie moralne wolnościowych żywiołów pod pretekstem zwalczania komunizmu, — zmuszają wszystkie demokratyczne obozy do zdwojenia czujności i do wyjścia z biernej postawy wobec agresji faszystowskiego internacjonału.

Jako pozytywny skutek instynktowej reakcji społeczeństwa na destrukcyjną robotę ciemnoduchów powstały ogniska oporu, wzmogła się silnie poczytność prasy demokratycznej i socjalistycznej, wystąpiły dążenia do konsolidacji wewnętrznej żywiołów wolnościowych. Jedynie w walce solidarnej sił demokratycznych dojść możemy do syntezy, którą dyktuje logika dzisiejszego życia polskiego. Stronnictwo Ludowe i Wici pospołu z Polską Partią Socjalistyczną stanowią najważniejsze składniki politycznej syntezy demokratycznej. Obok gromady chłopskiej i rzesz robotniczych, dojrzewa politycznie i przygotowuje się do samodzielnej roli w życiu zbiorowym poważny odłam inteligencji pracującej, przeciwstawiający się w sposób zdecydowany uroszczeniom społecznej i politycznej reakcji. Te trzy zasadnicze grupy, stanowiące wspólnie wielomiljonowy świat pracy, spojony świadomą wolą i nastawiony w kierunku gruntownego przeobrażenia życia polskiego, jest zapowiedzią rychłego odrodzenia.

Zespolenie sił wytwórczych i społeczno-politycznych, wyłaniające się z chaosu dnia dzisiejszego, stanie się jutro opoką demokracji, o którą rozpryśnie się faszystowska piana, spływająca do nas na ponurej obcej fali.

SAMOOBRONA LUDÓW

Z okazji Nowego Roku, tradycyjnych przyjęć dyplomatycznych, bankietów i zgromadzeń publicznych wyraz „pokój" użyto zapewne kilkaset razy więcej w ciągu jednego dnia, niż to dzieje się zazwyczaj, choć i tak odmieniany przez wszystkie przypadki stanowi on nieodłączny element wszystkich wystąpień politycznych i dyplomatycznych. Słusznie jednak zwrócono uwagę, że w roku bieżącym hitlerowscy mężowie stanu w enuncjacjach noworocznych wyraz ten skreślili ze swego słownika. Ani Göbbels w mowie radiowej, ani Hitler w rozkazie dziennym do partii, ani Göring w odezwie do społeczeństwa nie użyli tym razem wyrazu „pokój", chociaż zazwyczaj szafowali nim bez ograniczenia. Czyż by to był nieświadomy odruch sumienia, czy strach, czy, objaw niebywałej u filarów III-ej Rzeszy szczerości?

Trudno posądzać tych ludzi o szczerość, gdy ma się przed oczami jaskrawe, rażące przykłady obłudy, stanowiącej ich główną metodę polityczną.

Zdumiewające przykłady tej obłudy dały oba państwa sprzymierzone przeciw Hiszpanii ludowej, t. j. Niemcy i Włochy w notach z dn. 8 stycznia, t. j. w odpowiedzi na francusko-brytyjską propozycję o zaprzestaniu posyłania do Hiszpanii tak zwanych ochotników. Mówimy tak zwanych, bo teraz już jest stwierdzone, że żołnierzy niemieckich ekspediuje pod mury Madrytu, hitlerowska zwierzchność Reichswehry, a z prowincji Neapolitańskiej i Liguryjskiej wysyła się pokryjomu tysiące żołnierzy włoskich, którzy w drodze dowiadują się, że jadą nie na kolonizację „Imperium afrykańskiego", lecz na pomoc dla Maurów, walczących za kiepski żołd z rządem prawowitym Hiszpanii. Otóż te dwa państwa organizujące, przy użyciu całej siły swojego aparatu wojskowo-politycznego, wyprawy mięsa armatniego do Hiszpanii, z całą czelnością w odpowiedziach oświadczają, że one zawsze będą przeciwne interwencji, że zawsze domagały się ukrócenia napływu ochotników do Hiszpanii, a tylko Francja i W. Brytania nie chciały się tym tematem zajmować. Dziś — piszą zgodnie pp. hr. Ciano i von Neurath — ograniczenie lub zatamowanie dopływu ochotników do Hiszpanii wyszłoby jedynie na korzyść „bolszewickiej Hiszpanii". Zresztą łaskawie gotowi są obaj wspomniani panowie na ten temat pokonferować, jeżeli uprzednio wszyscy zgodzą się na usunięcie z Hiszpanii „wszystkich cudzoziemskich agitatorów i propagandzistów". Doprawdy trzeba mieć niewyczerpane zasoby cierpliwości i wytrzymałości, albo gruboskórności, żeby móc tego rodzaju dyskusję dalej prowadzić. Tę wytrzymałość okazuje z całym niezamąconym spokojem dyplomacja angielska, a francuska jej w tym wtóruje.

Na samym początku roku mogło wydawać się, że dyplomacja angielska coś właśnie konkretnego przez swój spokój i cierpliwość osiągnęła: podpisano układ dżentelmeński brytyjsko-włoski o morzu Śródziemnem. Układ bardzo wymowny, bo poprzedzony wymianą listów, z których wynika — o ile wierzy się w to, co w nich napisano i podpisano — że Italia rezygnuje z wszelkich pretensji do Balearów i że gotowa jest gwarantować nienaruszalność terytoriów Hiszpanii zarówno w Europie, jak w Afryce. Nie można zaprzeczyć, że to „gentleman agreement" musiało wywrzeć wrażenie czynnika dodatniego. Francja z radością i gotowością akt ten przyjęła do wiadomości, w Berlinie nieco skrzywiono się. Ale nie obsechł jeszcze atrament na układzie, podpisanym w Rzymie przez pp. Drummonda i Ciano, gdy okazało się, że przed podpisaniem z Italii po-

śpiesznie wysyłano wojska na pomoc hitlerowcom do Hiszpanii. W ciągu paru dni przed podpisaniem umowy przybyło z Italii do Kadyksu i innych portów hiszpańskich 10.000 uzbrojonych od stóp do głów żołnierzy Mussolini'ego. Pomimo wszelkich sposobów fakty te nie dały ukryć się. Wychodząca w Lugano gazeta włoska „Libera Stampa" pisze, że w prowincji Neapolu, zarówno w głównym mieście jak w miasteczkach, gromadzono żołnierzy, którzy rzekomo mieli odpłynąć do Afryki, załadowano ich na statki buntowników hiszpańskich, przemalowane na włoskie i noszące dla niepoznaki włoskie nazwy tak, iż można spotkać nieraz dwa, a nawet trzy statki noszące nazwy „Isarco", „Tripoli", „Delia". Czasem odbywa się zresztą wszystko i bez tej maskarady: dnia 18 grudnia ze Spezji wysłano dwa wielkie krążowniki włoskie „Montecuccoli" i „Eugenio di Savoia", naładowane wojskiem i sprzętem wojennym do Hiszpanii.

A niedawno, jeden z oficerów włoskiej marynarki, przydzielony do łodzi podwodnych, otrzymał medal za waleczność „za wykonanie drażliwej misji na obcych morzach". Co to była za „misja", wiedzą o tem w katalońskim porcie Cartagena, gdzie zatopiono okręt rządu hiszpańskiego.

W polityce Italii czasem, jak gdyby wraca otrzeźwienie i zrozumienie, że awantura wszczęta wraz z Hitlerem nie doprowadzi do niczego dobrego, że czas najwyższy przerwać grę. Ale na tym polega nieubłagana logika wydarzeń, że siedzący przy grze sprawcy krwawej zawieruchy nie mogą już wycofać swoich stawek, muszą dojść do kresu swoich przeznaczeń. Obserwujemy teraz nowe nasilenie wszechświatowej awantury. Jedną ręką wysyłając obłudne noty do Londynu i Paryża, drugą — Rzym i Berlin zorganizowały drugi najazd na Madryt z natężeniem wszystkich środków morderczej wojny.

I znowu z zapartym tchem śledzi świat przebieg nowych krwawych bojów na linii obrony Madrytu: milicja ludowa hiszpańska ataki odpiera, prowincjonalne rządy Baskijski i Kataloński powoli przechodzą do ofenzywy. W tej samej chwili, kiedy hitlerowskie hełmy ukazują się pod murami Madrytu, zbliżają się zwycięskie oddziały Basków do Burgos, gdzie siedzi zdradziecka junta gen. Franco.

Wszystko idzie w grę: prasa reakcyjna całego świata bezustannie powtarza opowiadanie o tem, jak to wierni muzułmanie z zapałem rwą się do boju przeciw wrogom Kościoła Katolickiego, wzywając „Allaha", bo czują wspólnego wroga wiary i religii. Bez końca, aż do znudzenia powtarza się oklepane bujdy o rządach kominternu w Hiszpanii, podczas gdy w rządzie baskijskim stoją na czele gorliwi, wierzący katolicy, a rządy w Walencji i Barcelonie opierają się na koalicjach stronnictw demokracji i lewicy, a przede wszystkim na związkach zawodowych często anarchistycznych, a wcale nie komunistycznych. Ale czy warto nawet te zaprzeczenia powtarzać? Przecież to i bezcelowe i niepotrzebne wobec graczy grających kartami fałszywymi. Im większe czynią oni wysiłki, tym wyraźniej widać, że grę przegrają, pomimo, że biorą już rudę żelazną z Hiszpanii i wdzierają się do Maroko.

Niedawno „Manchester Guardian" podając na Nowy Rok zarys sytuacji międzynarodowej wyliczył 15-ście przyczyn, dla których, zdaniem gazety, nie należy patrzyć pesymistycznie na położenie, lecz przeciwnie, trzeba widzieć zwrot ku lepszemu. Wszystkie te 15-ście powodów, wśród których był między innymi i układ dżentelmeński W. Brytanii z Italią, sprowadzają się właściwie do jednego — a mianowicie: wszelkie wysiłki Niemiec hitlerowskich, by zdobyć hegemonię nad światem, by zdusić demokrację i wolność na całym świecie, stają się bezskuteczne. Publicysta angielski dostrzega dowody tego wszędzie, gdzie rzuci okiem: i we Francji rządzonej przez rząd Frontu Ludowego, i w St. Zjednoczonych, i na Dalekim Wschodzie, i na Bałkanach: w Europie Środkowej. Dojrzewa myśl ludzka w obliczu wojny, którą z nią prowadzi obóz hitlerowsko-faszystowski. Czyż nie jest objawem tego dojrzewania wspólna odezwa przedstawicieli trzech ugrupowań angielskich (konserwatystów, liberałów i Labour Party), wraz z grupą wybitnych działaczów francuskich, wzywająca do przeciwstawienia się wojnie przez ścisłe wykonanie paktu Ligi Narodów chociażby z pomocą wspólnej akcji zbrojnej jej członków. Na odezwie widnieją takie podpisy: Anglicy — Churchill, hr. Lytton, księżna Atholl, Lloyd George, Archibald Sinclair, Attlee, arcybiskup Canterbury, wicehrabia Cecil, prof. Gilbert Murray; Francuzi — Herriot, Cot, Sarraut, Paul Boncour, Reynaud, Bracke, Kanonik Desgranges i inni. Odezwa nosi tytuł: „Ratujcie Ligę Narodów i ratujcie pokój!"

Czyż nie jest również wskazaniem dojrzałości myśli i wydarzeń, że gdy z jednej strony w bezsilnej złości hitleryzm wzywa na łamach miesięcznika „Deutschlands Erneurung" do zniszczenia Czechosłowacji, bo jak przypomina to pismo, „już Napoleon powiedział, że kto włada Czechami, ten panuje nad Europą", — jednocześnie prezydent Czechosłowacji Benesz w orędziu noworocznym spokojnie powtarza hasło wierności dla zasad demokratycznych, dla wolności, pokoju i tolerancji.

Przeciw woli i samoobronie ludów, nic nie poradzą obłudne noty i żelazne brygady Berlina i Rzymu.

t. r.

DZIEŃ WIELKIEJ WAGI

KONGRES STRONNICTWA LUDOWEGO*)

Na dzień 17 b. m. został zwołany do Warszawy nadzwyczajny Kongres Stronnictwa Ludowego. W dniu tym przedstawiciele wielkiej rzeszy chłopskiej powezmą uchwały dotyczące sposobu rozwiązania obecnej sytuacji wewnętrznej w kraju, ustalą najbliższe cele działania zorganizowanych w Stronnictwie Ludowym mas chłopskich, sprecyzują żądania ruchu ludowego.

Głos przedstawicieli potężnej masy chłopskiej zaważy głęboko na sytuacji obecnej, stanie się niewątpliwie punktem zwrotnym na drodze, po której od przeszło 10-ciu lat posuwa się nasza nawa państwowa. Wieś nie doczekała się dotąd rozwiązania spraw, stanowiących podstawowy element jej bytu i przy-

*) Artykuł ten, pióra wybitnego działacza ludowego, otrzymaliśmy przed samym zamknięciem numeru. Gdy numer *Epoki* dojdzie do rąk czytelników, uchwały Kongresu Stronnictwa Ludowego będą już zapewne ogłoszone w prasie. Tekst tych uchwał niewątpliwie zgodny będzie z zapowiedziami p. Jana Roli.

szłości. Przy powiększaniu się masy społecznej na wsi, przy wzmaganiu się aspiracji i potrzeb kulturalnych i materialnych rzeszy chłopskiej — nastąpiło równocześnie skurczenie się wszystkich czynników życia społecznego i gospodarczego wsi.

Kongres Str. Lud. wypowie się w sposób kategoryczny. Przypomni niewątpliwie żądania rzeszy chłopskiej, zgłoszone na Kongresie w grudniu 1935 r.; rozwinie je i podkreśli konieczność przystąpienia do natychmiastowej ich realizacji. Wskaże na jedno tylko możliwe rozwiązanie, a tym będzie gruntowna i podstawowa zmiana całokształtu struktury społeczno-gospodarczej kraju. Kongres bezwątpienia odrzuci wszelkie kompromisy i sposoby kolejnego rozwiązywania spraw, obliczonego na długie lata, tym samym określi „termin" rozpoczęcia zmian.

W dziedzinie politycznej zażąda Kongres niewątpliwie natychmiastowego rozwiązania sejmu i przeprowadzenia wyborów do ciał parlamentarnych na podstawie zmienionej, demokratycznej ordynacji wyborczej. Naczelne władze Stronnictwa Ludowego, przedkładając wniosek ten Kongresowi do uchwalenia są widocznie zupełnie przekonane, iż wynik wyborów da rzeszom chłopskim, oraz sprzymierzonym z nimi ugrupowaniom robotniczym pełne zwycięstwo w wyborach, tym samym decydujący głos w kraju. Ruch ludowy, jego przywódcy i szeregowi pełni są poczucia odpowiedzialności za swe poczynania i za właściwą ocenę sytuacji w kraju. Kongres S. L. zwróci się więc do całego narodu z wezwaniem o wzięcie udziału w gruntownej przebudowie społeczno-gospodarczej państwa. Jednocześnie zastrzeże się, iż prymat w rządach krajem powinien należeć do chłopów i robotników, a więc do tych mas ludowych, którym ostatnie kilkanaście lat życia państwa nie dało prawie nic, a odebrało zbyt wiele, którzy dla siebie i przyszłych pokoleń chłopskich i robotniczych są w prawie samodzielnie wytyczać i budować nowe drogi rozwoju.

Prasa ludowa zapowiada, iż Kongres S. L. niezależnie od żądania wyborów do ciał parlamentarnych wysunie żądanie powrotu do kraju emigrantów politycznych.

Kongres Str. Ludowego stwierdzi ponadto, wobec całego kraju, pełną zwartość, jednolitość i solidarność oraz siłę organizacyjną ruchu ludowego. Jakkolwiek w Str. Ludowym, tak jak w każdym podobnym środowisku, nurtują różne prądy społeczno-polityczne, to jednak różnice wewnątrz ruchu ludowego zamykają się całkowicie w ramach programowych i organizacyjnych Str. Ludowego i w najmniejszym stopniu nie osłabiają jednolitości ruchu ludowego. Rzesze chłopskie dawno już zrozumiały ten podstawowy element siły i odrodzenia wsi, jakim jest jednolitość ruchu ludowego i jego zwartość organizacyjna. Uznają to za czynnik podstawowy i bezsporny zarówno ludowcy, jak i wiciarze, drobnorolni chłopi małopolscy i zamożni gospodarze z powiatów podwarszawskich.

Ruch ludowy z całym poczuciem odpowiedzialności deklaruje swą świadomość potrzeb państwa w dziedzinie obrony kraju i zgłasza w imieniu rzesz chłopskich gotowość nietylko wypełnienia obowiązku obywatelskiego, ale również najdalej idącej ofiarności. Z problemem tym łączy się zagadnienie polityki zagranicznej, a więc ścisłego sojuszu z wielkimi demokracjami Zachodu — z Francją na czele.

W polityce wewnętrznej Str. Ludowe odcina się całkowicie od komunizmu. Z równą stanowczością kongres odgrodzi się od prądów faszystowskich. Program ruchu ludowego zbyt wielką przepaścią oddzielony jest od komunizmu i faszyzmu. Kongres S. L. wskaże zapewne na Polską Partię Socjalistyczną, jako jedynego swego sojusznika, reprezentującego masy robotnicze w kraju.

***

Kongres ten będzie niewątpliwie zdarzeniem wielkiej wagi w życiu społeczno-politycznym kraju. Po demonstracji w Nowosielcach i po wystąpieniach ruchu ludowego w dniu 15 sierpnia ubiegłego roku, Kongres S. L. stanowić będzie widoczny etap końcowy w akcji ujawniania nastrojów mas chłopskich i ich jednolitej i zwartej organizacji, zarazem stanowi otwarcie tego okresu, który nazwać należałoby okresem realnej aktywności.

Jan Rola.

Z DNIA NA DZIEŃ

PIÓRO I PIĘŚĆ.

Jeden z najznakomitszych publicystów Rosji sowieckiej, Karol Radek, przebywający od paru miesięcy w więzieniu, usiłował popełnić samobójstwo. Jest teraz strzeżony pilnie. Życie Radka stało się narazie cenne dla jego ciemięzców, którzy najwidoczniej chcą doprowadzić do ponownej, na wzór procesu t. zw. „trockistów", krwawej maskarady.

Radek to jeden z tych, którzy przez dziesiątki lat budowali potęgę swoich oprawców i katów. Piórem swym umacniał tę pięść, która go pchnęła do lochu więziennego.

Straszliwa to ironia, a zarazem obraz najkrańcowszego okrucieństwa.

OBRZYDLIWOŚĆ.

Rząd meksykański, pod presją socjalistów i radykałów, udzielił Trockiemu prawa azylu, natomiast komuniści meksykańscy jeszcze przed przybyciem Trockiego urządzali przeciw temu przybyciu demonstracje. Obecnie zaś żądają, by pobyt Trockiego w Meksyku był jaknajkrótszy.

Dwadzieścia lat temu liczne zastępy emigracji bolszewickiej z Leninem i Trockim na czele korzystały z prawa azylu w krajach demokratycznych, a teraz komuniści meksykańscy występują przeciw temu prawu, o które zawsze walczono w ruchach wolnościowych.

ZATAJENIE.

We wspomnieniach pośmiertnych o znakomitym pisarzu hiszpańskim, Miguelu de Unamuno, cała prasa reakcyjna zataiła przed czytelnikami, że Unamuno, który zrazu stanął po stronie rebeliantów, popadł następnie w ich „niełaskę", pozbawiony został stanowiska rektora uniwersytetu w Salamance i skazany na areszt domowy. W kłamliwych i nieuczciwych notatkach przypomniano jedynie o tym, że Unamuno wystąpił przeciw rządowi madryckiemu, ani jednym natomiast słowem nie wspomniano o późniejszych protestach Unamuno, wymierzonych przeciw zbrodniom i antynarodo-

wej akcji uzupartorów z gen. Franco na czele.

I w tej, jak w tylu innych sprawach, czytelnicy prasy reakcyjnej zostali oszukani.

ABC... F.

ABC jest to niesłychanie prostackie pisemko faszystowsko-hitlerowskie, które codzień powtarza alfabet do D, najwyżej do E. Gdy dojdzie do litery F, napotyka nazwisko Faltera i odrazu zaczyna się jąkać i zaklinać, że jako żywo z wymienioną firmą kapitalistyczną nie ma nic wspólnego. Nie kwestionujemy.

Ale nas tu interesuje rzecz inna. Nas cieszy zdrowy i czujny instynkt społeczeństwa, które, nauczone przykładem włoskim, hiszpańkim i niemieckim, z chwilą gdy spostrzeże szczepionkę faszystowską, natychmiast pyta o zdrój finansowy, który ją poi i zasila.

I nawet milcząc, z takim pyta naciskiem, że faszyści, chcąc nie chcąc, tłumaczyć się muszą codzień. Co dzień zaczynają swą piosenkę od ABC i codzień kończą ją na F.

TO NIE JEST PRZYPADEK...

— Po czym poznaje się endeka?

— Po kompleksie niższości.

Endecja, w gruncie rzeczy, cóż to innego, jeśli nie rozjątrzona a bezsilna ambicja, postawiona na głowie?

Nacjonalizm tego osobliwego stronnictwa, które przystroiło się w godła narodowe, jest usankcjonowaną ideologią płaszczenia się przed oligarchią możnych i silnych, naigrawania się z niedoli ubogich i słabych.

Walka o niepodległość ojczyzny, póki pozostawała udziałem nielicznych, była w sercu endeka przekreślona już przez to, że przeciw niej mówił obrachunek sił. Oręż powstańczy był wyklęty z chwilą, gdy zatryumfowała nad nim przemoc.

Nie jest, moi państwo, przypadkiem, że w szkole tej wyrastają mężczyźni, którzy chełpią się z pobicia kobiety; młodzieńcy, którzy zbierają się w gromadę, aby napaść na samotnego kolegę.

Nie jest, wreszcie, przypadkiem, że to właśnie endecy wyspecjalizowali się w walce z mniejszościami: ich odwaga zawsze czuje się najlepiej, gdy staje po stronie większości.

PROSTA ODPOWIEDŹ.

Redaktorem „Niepodległości" — czasopisma, poświęconego badaniom dziejów najnowszych, został mianowany ekscelencja b. premier Świtalski.

— Ekscelencjo! — pyta go dawny przyjaciel: — czym wytłumaczyć, że tak nagle odnalazłeś w sobie talent na naczelnego historiografa?

— Poprostu: w tej samej randze nie wakowało nic innego.

KOMENTARZ DO KONSTYTUCJI.

Wedle miarodajnych obliczeń, jedna tylko rodzina Radziwiłłów posiada w Polsce ziemi ćwierć miliona hektarów.

Ten skromny fakt czyż nie mówi nam o ustroju Rzeczypospolitej więcej, niż wszystkie paragrafy Konstytucji i Ordynacji Wyborczej?

ODWET RACŁAWICKI.

Walery Sławek zamknął, jak słychać kartę swej działalności politycznej i w swej „chacie racławickiej" zasiadł do pisania pamiętników.

Taki to już los wodzów, którzy przegrali...

Gdy zawiodły ich czyny, pragną odegrać się w walce na słowa.

ZUCHWAŁE CIURY.

Na czele rządu, który w r. 1920 przyczynił się do zwycięstwa nad inwazją bolszewizmu, stał Witos i Daszyński: ludowiec i socjalista: przedstawiciele dwóch stronnictw, które gawiedź endecka chce dzisiaj zepchnąć na biegun antypaństwowy, jako „żydo-komunę".

Aby dopełnić obrazu, należy przypomnieć, że tymi, którzy tchórzliwie z zagrożonej stolicy uciekli w momencie niebezpieczeństwa, byli to sami endecy. Ci, którzy dziś najgłośniej gębują, lub ich uczniowie i wyznawcy.

Patriotyzm ma swych rycerzy. Ma i swoje ciury.

JAK SIĘ MELDUJE REAKCJA?

Reakcja społeczna, gdy się zjawia, nigdy nie odsłania swej twarzy. Nigdy nie mówi o sobie: „Ja jestem reakcja".

Rozejrzyjmy się nieco po historii. Wszelkie reakcje oznajmiały się mniej więcej tymi słowy:

— Wolność?... Ależ tak, tylko niech to będzie wolność zdrowa, połączona z karnością. A dalej: porządek, posłuch, poczucie obowiązku, szacunek dla władzy. No — i sanacja moralna. Sanacja moralna przede wszystkim!

TORQUEMADA CZY HEROD?

Znalazł się w kraju naszym ciura obozowy czy poprostu może pachoł więzienny, który wszedł na jedną z trybun publicznych, aby wołać o przyjście polskiego Torquemady: o wielkiego inkwizytora — podpalacza stosów dla nowego Husa, dla nowego Giordana Bruna, może dla nowego Kopernika lub Mickiewicza.

Czemuż nie odsłonił niewolniczej duszy swej do dna i nie zawołał o polskiego Nowosilcowa, Heroda młodzieży litewskiej, senatora z III części „Dziadów"? Czemu nie woła o autentycznego Heroda z kart ewangelii? Wszak Herod, wedle opowieści ewangelicznej, był także tyranem i mordercą niewinnych. Także chciał zdławić w kolebce Ideę: ideę największą z tych, które miały odwrócić porządek i hierarchię świata.

Tylko, że los Herodów — jak los wszelkiej ślepej przemocy — przypieczętowany jest klątwą własnej bezsilności. Gdy tyran, zachłystując się od krwi mordowanych, cieszy się w swej stolicy pozorami tryumfu, w tym samym czasie cała i nietknięta, uchodzi z murów, parujących zbrodnią, rodzina wyklętych — z Dzieciątkiem Bożym na ręku.

JACY TO LUDZIE?

Prześladowanie Żydów ma swe źródła w warunkach ekonomicznych. Oczywiście. Lecz żeby prześladować ludzi innego wyznania, czy narodowości, na to potrzeba jeszcze czegoś: ludzi umiejących nienawidzieć, zadawać cierpienia, krzywdzić. Czy znacie człowieka prawdziwie dobrego, któryby popierał bojujący antysemityzm? To zawsze ludzie źli.

NAJGORSZA ODMIANA

„Żaden człowiek nie może mieć tyle racji, żeby jego przeciwnik nie miał racji choć trochę" — pisał Renan, mając na myśli dyskusje i walki społeczno-polityczne. O tej prawdzie pamiętając, możnaby rozmawiać z każdym przeciwnikiem. Jedna tylko odmiana gatunku ludzkiego nie nadaje się do rozmowy: fanatyczny dureń.

TĘSKNOTA ZA LIBERIĄ.

Przybycie do Krynicy holenderskiej następczyni tronu z mężem dało sposobność naszej prasie brukowej do popisów uniżoności. „Ilustrowany Kurjer Codzienny" nie posiada się z radości, że jego korespondent uzyskał rozmowę z p. Rottervelem, przygotowującym przyjazd pary książęcej. Tymczasem „Goniec" warszawski stwierdził, że p. Rottervel jest kamerdynerem, który tylko przywiózł walizy.

Zaszczyt takich wywiadów należało właściwie zostawić p. Cat-Mackiewiczowi, który jako monarchista uczyniłby to godnie i ze znawstwem.

W niektórych pismach brukowych najważniejsze sprawy doby obecnej zeszły na plan dalszy wobec przyjazdu pary holenderskiej do Krynicy.

Możnaby powiedzieć: utajone dworactwo poszukuje liberii.

MIGUEL DE UNAMUNO

Odszedł — niepogodzony ze światem. Wyklęty przez obie walczące w jego ojczyźnie strony, rozczarowany do głębi duszy, tragicznie smutny i samotny, wieszczył Unamuno na niewiele dni przed swym zgonem złą przyszłość Europie. Potępiał młodzież. Potępiał wszystkie skrajności ideologiczne. Potępiał szał zniszczenia, coraz bardziej, jego zdaniem ogarniający ludzkość.

Kim był właściwie ten człowiek, tak sławny? Nie łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Sam Unamuno utrudniał psychologom i historykom charakterystykę swego oblicza duchowego. Podkreślał, że nikomu nie uda się go „sklasyfikować". Wiele z dumnej przekory musiało też być w najpoważniejszych decyzjach błyskotliwego filozofa. Indywidualista, zakochany w swej osobowości, częściej, niż ktokolwiek inny, narażany był na niebezpieczeństwo konfliktu ze społeczeństwem.

Wykładał grekę na uniwersytecie w Salamance. Pisał dzieła i utwory najróżniejszego rodzaju: od głębokich humanistycznych rozpraw, jak „Sentimiento tragico de la vida", aż do sonetów i nowel. Politykę uprawiał... z amatorstwa.

A jednak ona to była przyczyną jego zesłania na wyspy Kanaryjskie w r. 1924. Sześćdziesięcioletni podówczas Unamuno nie szczędził słów sarkazmu pod adresem monarchii Alfonsa XIII. Król miał się wyrazić, że Hiszpania nie potrzebuje pesymistów. Z wygnania na Forte Ventura udało się filozofowi zbiec do Francji. W Paryżu powitała go elita światowego radykalizmu.

Znakomity lingwista nigdy nie był politykiem sensu stricto. Życia organizacyjnego nie lubił. Atmosfera debat partyjnych nie pociągała go. Z natury nie był predystynowany do kierowania masami. Sam zaś nie umiał ulegać żadnej dyscyplinie.

Jego republikanizm miał charakter wyłącznie negatywny. Rzeczywistość hiszpańska z czasów monarchii i rządów Primo de Rivery odpychała i raziła wyrafinowanego humanistę. Potrafił Unamuno drwić z generałów i jezuitów — nie potrafił sobie stworzyć konkretnego ideału społeczno-ustrojowego.

Po kilku latach, spędzonych na emigracji, powrócił do ojczyzny w r. 1931, kiedy to jego monarchistyczni przeciwnicy z królem i dyktatorem na czele sami z kolei musieli opuścić Hiszpanię. Republika entuzjastycznie witała Miguela Unamunę. On sam jednak wkrótce zaczął odczuwać swe niedopasowanie do nowej rzeczywistości. Rozczarowywał się stopniowo — wciąż bardziej i bardziej...

Nie umiał nigdy zająć się procesami społecznymi — dla nich samych. Stanowiły one dlań jedynie objekt historiozoficznych rozważań, może i porywających nieraz, ale zawsze dowolnych. Dziejów nie można traktować nazbyt indywidualnie. Nazywając rewolucję „wybuchem śmiechu Boga", wyznawał Unamuno pośrednio, że współczesność przynajmniej była dlań nieodszyfrowaną księgą tajemną.

W życiu republiki hiszpańskiej wiele było momentów o których na myśl zbiegały się nastroszone brwi profesora z Salamanki. Nie sięgał on do źródeł zła, nie szukał istotnych winowajców, nie rozumiał brudnej prowokacyjnej akcji żywiołów wstecznictwa. Nowe czasy i nowi ludzie wydali mu się niespodziewanie obcy, twardzi i gwałtowni. Subtelnego historiozofa, który tak dobrze czuł się w skórze „opozycjonisty Jego Królewskiej Mości", odstręczyły surowe rysy oblicza Republiki.

Gdy wybuchła rebelia, Miguel de Unamuno — pierwszy i ostatni z pośród elity intelektualnej Hiszpanii — opowiedział się zrazu po stronie gen. Franco. Ofiarował jeszcze pięć tysięcy peset. Wydawało mu się, że stanął w szeregach krucjaty przeciw „barbarzyństwu" i „kainizmowi". W jego rozumowaniu było zawsze coś z szerokiego gestu... sztukmistrza. I tym razem, pomieszawszy pojęcia, nie zrozumiał istotnego podłoża generalskiego buntu. Obrońców latyfundiów wziął za obrońców jakiejś bliżej nieokreślonej „cywilizacji".

Rząd legalny pozbawił go rektoratu uniwersytetu w Salamance tak, jak jego rebelianckich popleczników — tytułów generalskich. Destytucja ta miała jednak charakter czysto formalny. Salamanka została zajęta przez faszystów. Junta mianowała swego uczonego zwolennika dożywotnim rektorem uniwersytetu, który szczyci się tym, że jest jednym z najstarszych w Europie.

Unamuno nie mógł jednak naprawdę zmieścić się w ramach reakcyjnego ruchu. Rychło ogarnął go niesmak, zwątpienie — i przerażenie: w końcu oświadczył, że „nigdy nie będzie po stronie zwycięzcy". W obliczu wojny dwóch światów, jaka się na terytorium jego ojczyzny rozgrywa, w obliczu śmierci tysięcy, w obliczu bohaterstwa ludu, broniącego swej wolności — zabrzmiała ta „sentencja" jak zły, okrutny dowcip bezideowca.

Rozczarowanie filozofa przeszło szybko w ostrą krytykę posunięć junty. Unamuno przeciwstawiał się gwałceniu praw jednostki przez buntowników i ich uleganiu hitlerowsko - faszystowskim wpływom. Nie mógł nie dojrzeć faktów zbyt oczywistych. Potworne, masowe morderstwa, dokonywane przez rebelię, najazd obcych imperializmów na Hiszpanię—wstrząsnęły nieszczęsnym, rozdartym przez wewnętrzne sprzeczności humanistą. Krytykował juntę coraz ostrzej. Popadł w zatarg z falangistami, a wkrótce potem odważył się zaatakować potężnego gen. Millana Astray, organizatora hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej. To przypieczętowało losy „niesfornego" filozofa. Junta pozbawiła go „dożywotniego" rektoratu i skazała na areszt domowy.

Czy to odcięcie się Unamuny od rebeliantów — po kilkutygodniowym zaledwie pobycie w ich obozie — można traktować jako jeszcze jeden przejaw jego hiperindywidualizmu, jako ostatni paroksyzm starczej paradoksalności? Wydaje się, że takie postawienie sprawy byłoby nietylko uproszczeniem, ale wręcz wypaczeniem sprawy. Mędrzec z Salamanki nie mógł spokojnie patrzeć, jak ukochaną jego Hiszpanię, o której mówił, że powinna być wyłącznie „hiszpańska" — zamieniano na teren niemiecko-włoskiej ekspansji. W rozmowie z zagranicznymi dziennikarzami podkreślał, że jego postawa wobec zakusów obcej inwazji była główną przyczyną odebrania mu funkcyj i tytułu rektorskiego.

Jeden jedyny z pośród intelektualistów swej ojczyzny, który początkowo opowiedział się za rebelią — umarł jako jej więzień.

Zygmunt Jarosz

ŚWIATŁA I CIENIE

JESZCZE O KSIĄŻCE GIDE'A

Wystąpienie Andrzeja Gide'a, którego wartość podniósł Wincenty Rzymowski w artykule p. t. „Tryumf niepodległego sumienia" (*Epoka* Nr. 14), jest istotnie faktem bardzo interesującym i zasługującym na poważne potraktowanie. Zwłaszcza obowiązuje to dlatego na łamach pism demokratycznych, antyfaszystowskich, że przecież musimy sobie zdawać dobrze sprawę z *motorów i kulis rozgłosu*, jaki nadano tej książce.

W świecie dzisiejszym, który się godzi z rekordowymi gwałcicielami „niepodległego sumienia", jakimi są twórcy hitlerowskiego i faszystowskiego reżymu, trudno dopatrzeć się tak niebywałej na ową niepodległość sumienia powszechnej wrażliwości, iżby uzasadniała ona wielki sukces książki Gide'a. Oczywiście, nie. Książkę tę reklamują na łamach swej prasy przede wszystkim te koła społeczeństwa w każdym z krajów europejskich, które widzą w niej dziś *dodatkowy argument przeciw Związkowi Sowieckiemu*, dodatkowy i to *walny atut dla propagandy faszystowskiej*. Prasa robotnicza, socjalistyczna postępuje w każdym kraju z tą książką tak, żeby swymi głosami nie wspomagać chóru propagandy hitlerowskiej lub faszystowskiej. Przykładem polskim może służyć choćby artykuł Kazimierza Czapińskiego w grudniowym numerze miesięcznika *Światło* p. t. „Dwie kultury". Zaznacza on przede wszystkim, że Gide nie zmienił swego zasadniczego stanowiska, tylko znalazł w Sowietach rzeczy, które nie odpowiadają mu właśnie z tego, pozytywnego w stosunku do eksperymentu sowieckiego, stanowiska. Jest to bardzo istotne odgrodzenie się od wykorzystywania książki Gide'a przez tę „inną stronę barykady".

Idąc w tym kierunku, należy przede wszystkim zacytować końcowy ustęp książki Gide'a nie przytaczany zresztą w żadnej z recenzyj, jakie czytałam (myślę o prasie mieszczańskiej). Kończy on słowami: „Związek Sowiecki będzie jeszcze dalej pouczał nas i wprawiał w podziw". Tak rozumiem myśl, wypowiedzianą w słowach (str. 91): „L. U. R. S. S. n'a pas fini de nous instruire et de nous étonner". Dziesiątki razy też akcentuje Gide w swej książce, że uważa się w dalszym ciągu za przyjaciela Związku Sowieckiego, że widzi zdumiewające zdobycze w najróżniejszych dziedzinach. Ponieważ przeważnie cytowane są w prasie zarzuty Gide'a, jego rozczarowanie, jego obawy, potępienie poszczególnych zjawisk, niechże mi wolno będzie zacytować z tej samej książki, zdanie, które sam Gide, jak sądzę, raczej wolałby widzieć cytowane. Przecie w swej przedmowie podnosi on, że „realizacje Związku są przeważnie wspaniałe. W całych dziedzinach przedstawia się już nam widok promieniujący od szczęścia" (str. 16). Nie chcę zajmować tu miejsca cytatami, książeczka jest mała i niedroga, każdy ją może przeczytać i sam się przekona, jak nieuczciwy użytek robi z niej większość prasy światowej. Gide podnosi naprzykład ogromny dorobek w pracy nad młodzieżą i tu znów wręcz wyróżnia Związek Sowiecki wśród innych państw.

Nadmieniono w prasie, że Gide długo namyślał się nad wydaniem tej książki. To jasne: dla socjalisty — jakże ciężkim być musi przyczynić się — choćby mimowoli swoim piórem do chóru najwstrętniejszych sił wstecznictwa i barbarzyństwa, jakie sekundują hitleryzmowi i faszyzmowi. Jednak pojąć należy — i to podnieśli słusznie i Rzymowski i Czapiński, że zachodzi tu niejako konflikt dwóch kultur, że Gide, indywidualista, artysta mocno wrażliwy, przesiąknięty kulturą Zachodu, zareagował na realizację przyjętego przezeń ideału nowego ustroju tak, jak musiał — bo musiały go razić i różne metody, i niektóre wyniki i wogóle — rozbieżność pomiędzy ideałem, programem, planem a realizacją — „rzeczywistością wykuwaną w krwawej miazdze życia", jak pisze Rzymowski. Ani dziwić się temu nie trzeba, ani napadać na Gide'a za to nie ma sensu. Człowiek uczciwy, człowiek współczujący głęboko z teorią nowego ustroju, żachnął się przed wieloma stronami jej realizacji.

Dziś dla pisarza postępowego jest bardzo odpowiedzialną rzeczą mówić o Związku Sowieckim. Oczywiście, dla pisarza, który nie jest związany z kapitałem finansowo-przemysłowym ani z magnaterią, montującymi w świecie faszyzm, rasizm, hitleryzm. Trzeba ważyć każde słowo. Skoro zaś ta dyskusja nad książką Gide'a została już w „Epoce" podjęta, pragnę dorzucić do niej garść własnych myśli.

Otóż — głos Gide'a grzeszy zasadniczą wadą, którą już uwypuklił Czapiński: poprostu prowadzi on swe rozważania w zupełnym oderwaniu od gospodarczych spraw i dorobku Związku Sowieckiego. Ale to nie jest przecie bagatelka, z której można wyjść za pomocą oświadczenia „nie jestem technikiem", „nie znam się na tem", „nie poruszam" itd. To nietylko nie jest bagatelka, ale to są podstawowe rzeczy dla Związku Sowieckiego.

Przecież to właśnie sprawy gospodarcze kształtują i psychikę i obyczaje, i kulturę... Pominięcie, nierozumienie tych spraw powoduje wybitne osłabienie głosu pisarza.

Nikt natomiast jeszcze nie podniósł u nas bardzo istotnych przyczyn, które powodować mogą i napewno powodują wypaczenia, zniekształcenia w realizacji nowego ustroju. Zresztą wskazać te przyczyny może tylko obóz myśli niezależnej, szczerze demokratycznej i radykalnej. Pierwszą przyczyną jest izolacja od całego świata, dziś słabsza już dzięki nawiązaniu stosunków dyplomatycznych i handlowych ze wszystkimi większymi państwami, ale wciąż ostra, aktualna, silna, bo przeszkadzająca wymianie wartości kulturalnych. A cóż dopiero mówić o izolacji w ciągu pierwszego prawie dziesięciolecia! Raczej możnaby ją nazwać istnym zakorkowaniem Sowietów, zupełnym odgrodzeniem od całego świata. Więc olbrzymi kraj, który dokonał eksperymentu przewrotu społecznego, został izolowany doszczętnie — oczywiście ze szkodą dla tego kraju i dla eksperymentu. Bo przecie w odgrodzonym twardą ścianą zachodzie Europy, prócz grup społecznych, od których nic nie można było

zdobyć pozytywnego ani w sensie moralności, ani w sensie kultury wogóle, w znaczeniu trochę wykraczającym poza wartość jedwabnej pończoszki i papieru toaletowego — odcięto od Sowietów również miliony mas ludowych, proletariatu wysoko na zachodzie zorganizowanego i uświadomionego, proletariatu, z którym kontakt uchroniłby od wielu wypaczeń i zniekształceń przy realizacji nowych form ustrojowych. Sowiety, zamknięte, pod najwyższym ciśnieniem, w korkowanym ze wszystkich stron kotle izolacji, pozostawione całkowicie własnej inwencji, duchowej samowystarczalności — dobiegają już dwudziestolecia tego przejściowego przecież okresu, jakim według zasad marksizmu miał być okres dyktatury proletariatu. Piszę tu w tej chwili o dyktaturze proletariatu, nie poruszając kwestii zniekształceń i w tej dziedzinie, bo chcę podkreślić, że dyktatura proletariatu może być tylko okresem przejściowym. Przedłużana — musi prowadzić za sobą ujemne skutki *wszelkiej* dyktatury. Była by to więc jedna z przyczyn, dlaczego realizacja nowych form ustrojowych w Sowietach mogła się nieraz wypaczać, zygzakować, łamać itd. Przyczyną tą jest izolacja Związku tego od świata, od proletariatu i włościaństwa zachodniej Europy.

Drugą przyczyną jest moim zdaniem, zaraza, przenikająca od strony międzynarodowego faszyzmu, przenikająca choćby dzięki zastępom speców, techników, kupców przybywającym wraz z rodzinami do Sowietów.

Nienawidzę faszyzmu z całej duszy, ale to nie przeszkadza najskrupulatniej analizować wpływów faszyzmu na wszystkie kraje niefaszystowskie, a nawet właśnie na Związek Sowiecki, pozostający w tej chwili pod nieustannym obstrzałem „krucjaty", inicjowanej przez Hitlera. Zachowuję postawę życzliwą wobec eksperymentu nowego ustroju społecznego i to daje mi prawo stwierdzenia, że dostrzec należy obrzydliwe wpływy metod faszystowskich i w takich zjawiskach, jak proces trockistów, jego procedura i finał, w takich również jak „führeryzm" Stalina. Nie o tę depeszę chodzi, którą nadawał Gide: urzędnik mógł być głupi; ale czytując pisma sowieckie, można i należy obawiać się, ze względu na przyszłość socjalizmu, wprowadzania do Związku Sowieckiego „kultu führera", choćby nim był socjalista, kontynuator dzieła Lenina, Stalin. Skoro o Leninie pisało się Lenin lub „Iljicz", dlaczego kultywować, propagować, celebrować to „wieliczajszij", „drażajszij", „swietlejszij" itp. Stalin? Z tym idzie w parze propaganda führeryzmu a choćby to był wódz proletariatu nietylko Związku a całego świata, uważałabym zawsze führeryzm za zbyteczny i szkodliwy (nic bowiem nie ma to wspólnego z koniecznością posiadania kierownictwa ruchu, organizacji itp.) Zginanie karków, o którem pisze Gide, trzeba również ujmować „jako głęboki cień kładący się od dyktatury Hitlera", jak pisze Rzymowski.

Z wielkim namysłem piszę te uwagi. Nic mnie i nigdy nie obchodziły jakiekolwiek napaści reakcji społecznej, i dziś nie obejdzie mnie ani trochę, jeżeli prasa reakcyjna zajmie się wskutek tego artykułu „prześwietleniem" mojej osoby, moich sympatyj i poglądów. Nie mam swego sumienia i poglądów na sprzedaż i dlatego sympatie kół, kupujących prasę i pióra nic mnie nie obchodzą. Przeciwnie — każdy taki atak sprawił by mi przyjemność, bo uwyraźnia zawsze całą sytuację. Obawy są innej natury. Nie chcę swymi uwagami dać żeru tym właśnie, wstecznym, faszystowskim kołom do ich nagonki przeciwsowieckiej. Tembardziej nie chcę, że w zasilaniu prądów faszystowskich w Polsce, prądów obcych polskiemu duchowi i polskiej kulturze, widzę poprostu groźbę da niepodległości Polski. Międzynarodowy faszyzm bowiem — w moim najgłębszym przekonaniu — gdyby udał mu się eksperyment hiszpański po udanym abisyńskim — wyciągnie rękę po Polskę.

Halina Krahelska

MAGNATERIA, SANACJA I ENDECY

Kto zna przeszłość magnaterii polskiej — jej udział w zagładzie własnego Państwa na schyłku w. XVIII a potym jej służbę wiernopoddańczą u podnóża tronów zaborczych, temu nie trzeba tłumaczyć, że przeszłość taka nie najlepszą była legitymacją w oczach narodu, wstającego do bytu niepodległego właśnie na gruzach wszystkich trzech obcych monarchij.

Ani w sejmie ustawodawczym, który obradował jeszcze w groźnych odgłosach wojny, ani w izbach następnych — sejmie i senacie — magnaci nie grali prawie żadnej roli i nawet nie ubiegali się o mandaty, rozumiejąc, że przy demokratycznym systemie wyborczym byłyby to zachody stracone. Fortuny wielkopańskie, wyrosłe przeważnie na rabunku dawnej Rzeczypospolitej i stanowiące potym ostoję rządów zaborczych w Polsce podbitej, stały się absurdem i anachronizmem w Polsce odrodzonej.

Zepchnięci na ubocze, magnaci - obszarnicy poprzestali na tym, że polityczną obronę swych latyfundiów wypuścili w arendę endekom; ale i endecy, jakkolwiek hojnie zasilani podówczas z kas wielkoziemiańskich, nie śmieli otwarcie stawić czoła żywiołowym a potężnym dążnościom, wyrażającym postulat czasu. A postulat czasu zamykał się w haśle: ziemia dla chłopów!

Wszystko, czym endecy odpłacali obszarnikom za wzięte od nich zasiłki na wybory, polegało na tym że chwilę naglących rozstrzygnięć wstrzymywali i odwracali póty, dopóki się dało. Gdy jednak widmo inwazji wschodniej stanęło prawie pod murami Pragi, nawet endecy zdali sobie sprawę z grozy położenia i zrozumieli, że nadal igrać z niebezpieczeństwem nie można: na wniosek Wincentego Witosa izba poselska uchwaliła projekt ustawy o reformie rolnej już nie chwiejną i przekorną większością jednego głosu, ale jednomyślnie, wszystkimi głosami.

Jednomyślność ta, wyrażona tak stanowczo, choć tak późno, bo dopiero pod świstem kul nieprzyjacielskich, stała się wyrokiem moralnym dla magnaterii i obszarnictwa. Świadczyła ona o tym, jak dalece bojowa potęga kraju zależy na zadośćuczynieniu słusznym żądaniom chłopa; świadczyła też i o tym, ile obłudy tkwiło (i tkwi, niestety, dotychczas)

w argumencie, zalecającym utrzymanie latyfundiów w imię obronności i bezpieczeństwa Polski. Głosem zbiorowego instynktu narodowego Polska orzekła wtenczas, że prawdziwa warowność kraju — poza techniczną armaturą uzbrojenia — to sprawiedliwość społeczna.

Gdybyż reforma rolna, w tak przełomowym uchwalona momencie, odrazu podówczas, po skończonej, zwycięskiej wojnie, była wprowadzona w życie! Spełniając prastary demokracji polskiej testament, osadzała ona na gruncie państwowości polskiej odrazu milionowe rzesze ludu i z gruntu tego granitową czyniła podstawę naszej potęgi nowoczesnej. Pogłębiała naród polski o nową świeżą warstwę, do dziejowego powołaną życia, i rozszerzała jego duszę czynem, wynagradzającym wielką krzywdę społeczną. Jednocześnie wobec granicy wschodniej stawiłaby mur warowny z piersi miliona nowych gospodarzy rolnych: żywy mur wkorzeniony w ziemię i z ziemią tą zrośnięty w jedność nierozerwalną. Ten wysoce państwowy i zbawienny dla narodu skutek reforma rolna osiągała, rzecz prosta, pod warunkiem, że ziemię z obszarów wielkopańskich otrzymają ci, którzy jej naprawdę potrzebują, a zapłacić za nią nie mogą, to jest: służba folwarczna, chałupnicy i małorolni, nie zaś bogaci chłopi, którzy mają i ziemi dość i pieniędzy, aby jej jeszcze więcej dokupić.

Wbrew oczekiwaniom chłopów i naprzekór interesom Rzeczypospolitej, ustawa z d. 15.VII.1920 w przeważnej mierze martwą pozostała literą. Nie weszła w życie. Nie dała wyników, które dać była mogła. Ale nie spełniwszy zadania, które wypełnić miała, ustawa sejmowa z przed lat 16-tu nie utraciła nic z wagi swego moralnego i społecznego znaczenia. Pozostała nie programem wprawdzie, lecz wytknięciem kierunku, który prędzej albo później odzyskać musi swe potężne prawa. Nie utraciła nic z wyrazu postawy, którą naród zajął wobec grupy obszarniczo-magnackiej, gdy historia — w groźnej i surowej chwili — postawiła go oko w oko z losem; oko w oko z pytaniem: być albo nie być. Byt i ocalenie Polski oznaczały w owych dniach wyrocznych: kres własności obszarniczej — początek nowej własności w rękach milionowej rzeszy chłopskiej.

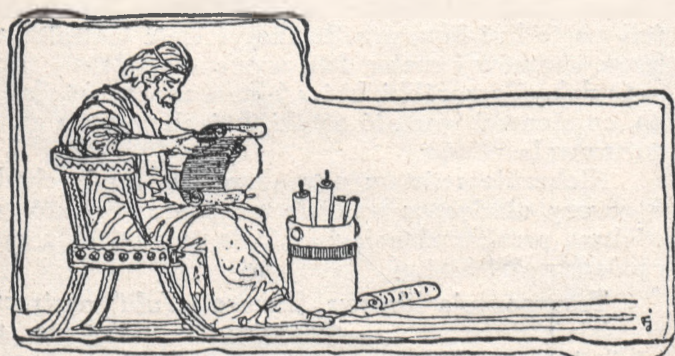
Ten początek, niestety, nie rozwinął się dotychczas w ciąg dalszy. Pochodowi demokracji stanął na drodze obóz sanacji. Skutki przewrotu majowego sprowadzone zostały jedynie do taktycznej rozgrywki o władzę między sanacją a endecją: między nacjonalizmem w mundurze a nacjonalizmem za ladą sklepikarza.

Miast stanąć na czele zdobywczej demokracji pracowniczej, której, zresztą, postawa zadecydowała o zwycięstwie w dniach Majowych; zamiast raz na zawsze odciąć się od taborów feudalizmu, obóz sanacji wolał sprzymierzyć się z magnaterią, dość powierzchownie upatrując w niej tamę przeciw znienawidzonej przez siebie endecji. Nie chciał on widzieć, że nacjonalizm endecki jest tylko wulgarną formą wysługiwania się interesom wielkiego kapitału, a więc także interesom magnackich latyfundiów. Skutki tego nieporozumienia okazały się fatalne. Magnateria bowiem, ponad głowami obozu rządowego, któremu miała służyć, pojednała się z endecją i stworzyła siłę, przed którą sanacja, odcięta od współżycia ze społeczeństwem — zmuszona została kapitulować psychicznie, przejmując od przeciwników ich hasła.

Ale sprzeniewierzyć się zadaniom historii, to nie znaczy, oczywiście, wstrzymać jej tętno. Tętno historii polskiej bije dziś mocno: bije gwałtowniej, niż kiedykolwiek. Bije w piersi tych, którzy walczą nie o synekury, nie o miejsce przy biesiadnym stole trutniów i pasorzytów, lecz o pracę dla wszystkich, o ziemię dla chłopa, o chleb i oświatę dla głodnych i łaknących wiedzy.

A. Grot

NAJNOWSZE KSIĄŻKI



„POLSKIE TRADYCJE WYCHOWAWCZE"

Na podstawie tytułu książki prof. Stanisława Łempickiego*) niejeden czytelnik mógłby sądzić, iż jest to rzecz „specjalna", przeznaczona dla stosunkowo wąskiego koła pedagogów lub tych czytelników, którzy szczególnie interesują się zagadnieniami wychowawczymi. Tymczasem książka prof. Łempickiego powinna zainteresować każdego światłego czytelnika.

Prof. Łempicki z całego dziejowego dorobku edukacyjnego — wybrał jedynie te idee i praktyczne ich urzeczywistnienia, które były przekazywane z pokolenia na pokolenie dla dalszego rozwijania.

Autor oświetla naprzód tradycje wychowawcze Polski szlacheckiej, poczynając od XV wieku aż do czasu wielkiej reformy XVIII wieku, następnie ustala znaczenie dzieła Komisji Edukacji Narodowej, która dała Polsce ideę Polaka-Obywatela.

W dalszych rozdziałach określa prof. Łempicki wpływy emigracji polistopadowej i romantyzmu na tradycje wychowawcze XIX wieku. Wnikając w ducha dziejów tego okresu, autor ustala i z naciskiem podkreśla, że element niepodległości państwowej i niepodległości ducha, wprowadzony został do kanonu wychowawczego dopiero po klęsce 31 r.

Dalej określa prof. Łempicki rolę mesjanizmu w wychowaniu polskości pod zaborami, a przechodząc do nowszych czasów zastanawia się nad znaczeniem wychowawczym walki pozytywistów z romantykami.

*) *Dr. Stanisław Łempicki:* Polskie tradycje wychowawcze. Nakładem „Naszej Księgarni". Warszawa, 1936 r.

Prof. Łempicki omawia rolę wychowawczą demokracji i socjalizmu polskiego, uwzględniając szczególnie osobę Bolesława Limanowskiego. Obszernie również analizuje wpływ wychowawczy Stanisława Brzozowskiego, oraz oddziaływanie literatury na polskie idee wychowawcze, uwzględniając głównie twórczość Wyspiańskiego, Żeromskiego i Sienkiewicza. Wyczerpująco też oświetla autor postać Józefa Piłsudskiego jako wychowawcy. Wreszcie prof. Stanisław Łempicki omawia zagadnienie nowego ideału wychowawczego, t. zw. wychowania państwowego.

Książka prof. Stanisława Łempickiego uderza jasnością wykładu i rzeczowością, napisana jest z objektywizmem uczonego. Autor prowadzi czytelnika przez labirynty idei wychowawczych kilku wieków dziejów polskich, objaśniając, co było w nich pozytywnego i społecznie twórczego.

„DWADZIEŚCIA LAT ŻYCIA"

Nie wiemy, jakie powody skłoniły Komisariat Rządu do konfiskaty nowej książki Zbigniewa Uniłowskiego „Dwadzieścia lat życia"*). Nie znajdujemy w niej rzeczy takich, które dotychczas uważane są za „nielegalne" w utworze literackim.

Rzecz prosta, iż, malując obraz dzisiejszego życia pewnych środowisk społecznych, autor nie mógł pominąć objawów — powiedzmy — nieprzyjemnych moralnie. Zazwyczaj na dnie nędzy toczy się życie amoralne, którego prawdziwość nie może być ukazana w sposób idealnie „niedrastyczny". Niema takiej formy literackiej, przez którą dałoby się wyrazić „ślicznie" i „łagodnie" to wszystko, co jest potwornością i klątwą naszych czasów. Zachodzi pytanie, co właściwie naraziło powieść Uniłowskiego na konfiskatę: czy treść niektórych rozdziałów, czy też forma opisanych zdarzeń. W pierwszym wypadku mielibyśmy do czynienia z żądaniem, by o takich a takich objawach dnia dzisiejszego nic nie pisać, w wypadku zaś drugim — za wskazówkę, że forma w jakiej Uniłowski demonstruje obraz prawdziwy, uznana jest przez Komisariat Rządu za niedopuszczalną. Sprawę wyjaśni decyzja Sądu, który — jak to się niekiedy zdarza — konfiskaty nie zatwierdza, lub też żąda usunięcia pewnej ilości zdań czy stronic.

Możemy narazie stwierdzić, że w powieści tej Uniłowski zachował znacznie większy umiar, niż w powieści poprzedniej, („Wspólny pokój"), która również uległa początkowo „zajęciu", a której konfiskata została uchylona.

Dodajmy, że nowa powieść Uniłowskiego nie należy do kategorii „tendencyjnych". Powieść tendencyjna to ta, w której autor krzyczy ...w komentarzu. W bezbrzeżnie smutnej powieści Uniłowskiego krzyczy samo życie, sama rzeczywistość. *J. W.*

„KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ"

Pięknie bogaci się ostatnimi laty polska literatura podróżnicza. Giżycki, Janta-Połczyński, Prószyński, Wańkowicz, Fidler, dają rzeczy o wysokim poziomie literackim, łączące w sobie piękno formy z pouczającą treścią. Na czoło tych pisarzy wysuwa się Arkady Fidler, którego książki tak szybko zdobyły zasłużony rozgłos.

*) *Zbigniew Uniłowski*: Dwadzieścia lat życia. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937 r.

„Ryby śpiewają w Ukajali" i „Zwierzęta z lasu dziewiczego" — była to już lektura zachwycająca, a najnowsza książka Fidlera „Kanada pachnąca żywicą" *) stawia go w rzędzie najświetniejszych pisarzy-podróżników. Na niepospolitą wartość tej książki składają się nietylko prześliczne opisy puszczy kanadyjskiej i nietylko mnóstwo nieznanych ciekawostek. Najsilniej przykuwają tu uwagę myślącego czytelnika refleksje Fidlera o naturze ludzkiej, o tajemnicach przyrody, o wszystkim, co żyje, czuje, walczy. Możnaby nawet powiedzieć, że każde zjawisko, każde wydarzenie, z którymi w swej arcyciekawej podróży zetknął się Fidler, służy mu przede wszystkim, jako pretekst do tych właśnie refleksyj, bardzo przy tym zwartych, lapidarnych, syntetycznych.

Urok tej książki polega również na głęboko humanitarnej postawie autora. Książka Fidlera niesie nam tedy — piękno słowa, pewną sumę wiedzy o świecie i myśl humanitarną.

J. W.



F I L M

„ROMEO I JULIA"

Transpozycja filmowa sztuki scenicznej kryje zazwyczaj wiele niebezpieczeństw. Wynikają one z tego, że film musi tu opierać się na przeróbce, w której mogą zatracić się podstawowe wartości utworu. Film i teatr przemawiają bowiem do naszej świadomości *różnymi* sposobami, różnymi *językami*. Filmu np. nie można przeciążać teatralnym dialogiem, aby nie przekształcić go w sfilmowany teatr. Trzeba, jeżeli ma to być *film*, przetłumaczyć treść teatralną na język obrazów i ruchu. I tu występuje właśnie trudność dobrej przeróbki, która by nie zaprzepaściła tego, co stanowi wartość sztuki, któraby jej nie zwulgaryzowała.

Niebezpieczeństwo powiększa się, kiedy chodzi o utwory, uświęcone tradycją wykonania i w których większe przekształcenia i odchylenia od tekstu rażą i zniechęcają.

Transpozycja filmowa *„Romea i Julii"* nastręcza specjalnie dużo niebezpieczeństw, ze względu na istnienie przeróbek, bardzo kuszących dla realizatorów filmu, przez zbliżenie do filmowych „konwenansów". Jednym z takich podstawowych „konwenansów" jest „happy end". Jaką pokusę stanowi tu „drama" Mercier'a, która historię Romea i Julii obdarzyła „szczęśliwym zakończeniem"!

Film przerzuca się z jednej ostateczności w drugą. Jeżeli zakończenie „tragiczne", to niechże „mrozi krew w żyłach", niech będzie straszliwsze, niż u

*) *Arkady Fidler*. Kanada pachnąca żywicą. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa, 1937.

Szekspira! A takich zakończeń dostarczają przedszekspirowskie wersje „Romea i Julii", w których Julia budzi się z letargu jeszcze przed śmiercią Romea i kochankowie biadają jeszcze nad swoją dolą, zanim jedno nie skona w ramionach drugiego.

Film Cukora ominął jednak te wszystkie pokusy i poszedł po linii Szekspira, przeprowadzając jedynie niewielkie zmiany i odchylenia.

Bodaj, że zmiany, poczynione przez scenarzystę przydały „fotogeniczności" tragedii Szekspira. Film, niezgodnie z tekstem szekspirowskim wprowadził na samym początku w komplecie oba powaśnione rody, okazujące wzajemną nienawiść gremialnym rwaniem się do bitki. U Szekspira pierwszą sceną jest zwada sług, bez poprzedzającej ją defilady Montekich i Kapuletów. Sama walka sług „wyszła" w filmie doskonale; generalna bitwa, jak gdyby tłumu treflowych waletów. Defilada rodów uczyniła jednak film bardziej ekranowo zrozumiałym, wprowadzając widza *wzrokowo* in medias res, czyniąc z dialogu jedynie ozdobę obrazu.

Przeciągnięto świadomie i nie bez efektu sceny pojedynku Tybalta z Merkucjem i Romea z Tybaltem. Były to sceny pełne ruchu, jak pełna ruchu i tragicznego pośpiechu jest jazda Romea i Baltazara z Mantui do Werony.

Po za tymi drobnymi zmianami trzymano się, jak można było najdokładniej, układu tragedii Szekspira, dialogu i nawet tradycyjnego sposobu wykonania.

Film wzbogacił „Romea i Julię" piękną muzyką świateł i cieni, która ukazała w tragedii nowe możliwości wydobywania nastroju i nowych odcieni uczuciowych. „Romeo i Julia" w filmie Cukora miała dobrą obsadę artystyczną. Norma Shearer jest tu rzeczywistą Julią „niewinnym kwiatkiem, co nie przeżył jeszcze czternastej wiosny swego życia".

Leslie Howard mniej się nadawał do roli Romea. Jednak gra jego jest dobra i przekonywująca.

Scena balkonowa i „aubade" z trzeciego aktu, zwracają uwagę tym, że głównym czynnikiem nastroju nawet przed dialogiem i mimiką stała się cudowna *melodia świetlna*, gra świateł i cieni.

W teatrze byłoby ogromnym błędem położenie takiego nacisku na stronę wzrokową, jak to uczyniono w filmie Cukora. Zachodziłaby obawa zbytniej przewagi dekoracji nad tekstem. I tu właśnie wystąpiła w pełnej jaskrawości odrębność filmowej metody ekspresyjnej. Jedynym bodaj zarzutem, jaki można postawić filmowi „Romeo i Julia" jest jeszcze zbyt szerokie zachowanie dialogu. Pochodziło to niewątpliwie z obawy uszkodzenia arcydzieła szekspirowskiego. Z pewnością następna wersja filmowa tragedii Szekspira zredukuje jeszcze bardziej dialog, wyrażając jego treść grą obrazów i światła, melodią nastrojów.

Kaz. L.

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

MALKONTENCI

W okolicach Michnienic dały się odczuć niepokoje chłopskie. To też gdy pewnego dnia rządca zdawał całodzienną relację gospodarczą właścicielowi Michnienic, Makomaskiemu, ten zapytał:

— Powiedz mi pan, kto tych chłopów tak podburza? To przecie byli spokojni ludzie...

— Hm... — zastanowił się rządca — Prawdę między nami mówiąc, obcych agitatorów tu nie widać. Ot! poprostu malkontenci. A zgodnie z psychologią tłumów, jak jedna koza beknie, beczą wszystkie. Więc hałaburdzą, bo cóż taki chłop jeden z drugim potrafi lepszego wymyśleć! Głupi naród i tyle!

— Tak pan myślisz? A jak by tu temu zaradzić?... Żeby ich jakoś zainteresować czemś?... bronzowa twarz Makomaskiego zastygła w ciekawości, co też rządca doradzi.

Rządca, najwidoczniej zaskoczony pytaniem, poruszył się niespokojnie na krześle.

— Ja, — zaczął po chwili. — prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co by tu należało... Ale myślę, że jakby tak zapytać ważniejszych chłopów?... — urwał wątpliwie i milczał. Dopiero na pytanie Makomaskiego, kogo ma na myśli, objaśniał:

— Dobrze by było zapytać tego byłego posła, a obecnie wójta, Pawła Grzybka. Chłop i między chłopami obyty. Z innych, to można by Wojtka Ciapę z Pacierzówki. Chłop z niego starowny, znów dokupił włókę gruntu i ma dwie włóki. Kaplicę piękną przed chałupą wystawił. Piszczałka Maciej z Gniewna też stateczny gospodarz. No i warto by Piętalę z Wygnanki. Ma u chłopów posłuch, bo świnie szczepi od czerwonki. Pamiętnik o wsi, słychać, pisze — Zakończył rządca i odetchnął z ulgą, rad, że udało mu się wybrać chłopów, którzy,—był tego pewny— nie spłatają panom żadnej niespodzianki.

Makomaski pożegnał rządcę, a po jego wyjściu głęboko się zastanowił nad malkontenctwem chłopów. Nawodząc wyobraźnię na te wsie, gdzie głównie wrzało, zatrzymał się na wsi Charciska. Nie raz dawniej słyszał, że działy się tam same rzeczy dobre. Ludzie w Charciskach do niedawna byli spokojni. Do kościoła chodzili. Głosowali narodowo. Kółko rolnicze mieli. Zespół amatorski, Katolickie Koło Kobiet i Młodzieży. Wszystko to jakoś zaniedbali. „Co za licho mogło im strzelić do głowy?" — zastanawiał się Makomaski. Po namyśle doszedł do

wniosku, że należy pobudzić chłopów do wznowienia poniechanej działalności oświatowej we wszelkich kółkach. Tym bardziej wydało mu się to słuszne, że zły przykład ciemnych chłopów rosyjskich przemawiał niezbicie za oświatą ludu w Polsce. „Gdzie — dowodził sobie Makomaski, — chłop mądrzejszy, to i siedzi cicho. Na ten przykład we Francji".

Nie odkładając sprawy, następnego dnia pojechał do powiatowego miasta Ślepska i naradziwszy się z sekretarzem Towarzystwa Rolniczego, zdecydowali zwołać Zjazd ziemian w sprawie oświaty wśród chłopów. Czterech wymienionych przez rządcę chłopów zaproszono również.

Według ściśle ustalonej daty, ósmego czerwca odbył się ów zjazd, mając na porządku dziennym tylko tę jedną sprawę. Ziemian przybyło siedemdziesięciu, na stu w powiecie. Przybył również zaproszony inspektor szkolny. Chłopi stawili się wszyscy czterej.

Zjazd odbył się w niewielkiej, o czterech oknach sali Syndykatu Rolniczego. Na przewodniczącego obrano jednogłośnie inicjatora zjazdu Makomaskiego. Usiadłszy za prezydialnym stołem, Makomaski, przemówił krótko, nawołując do natężenia umysłów celem znalezienia jaknajlepszych dróg podniesienia oświaty ludu. W końcowym przemówieniu zwrócił się specjalnie do chłopów, którzy siedzieli rzędem koło siebie na ławie, wtyle za ziemianami. Przypomniał Makomaski chłopom o obowiązkach względem kraju, dając szlachetny przykład Bartosza Głowackiego.

Gdy Makomaski skończył przemówienie, zabrał głos inspektor i mówił dwie godziny o potrzebie oświaty wśród ludu.

Zegar wiszący na ścianie za prezydialnym stołem, wybił godzinę dwunastą, gdy inspektor zakończył referat. Senny od samego początku nastrój, jaki panował na sali, teraz ożywił się nagle. Panowie wstali z miejsc, a rozmawiając między sobą, wrzeli jak pszczoły w ulu. Niektórzy pospieszali już ku wyjściu, uważając, że sprawa oświaty ludu jest załatwiona. Wtedy Makomaski, urażony zbytnią pośpiesznością zebranej szlachty, wstał z za stołu i nerwowym a przymocnym głosem wyrzucał ziemianom:

— Panowie śpieszycie, a przecież mamy tu panów włościan! Przecież panowie włościanie przyszli tu po to, aby się wypowiedzieć we własnej sprawie i nic jeszcze nie powiedzieli.

— Racja! Przepraszamy! — odezwały się głosy ziemian, którzy, jakby nagle przypomnieli sobie chłopów, odwrócili twarze w tył za siebie. Lecz chłopi — jakby przykuci do ławy, — siedzieli cicho, ani myśląc zapisać się do głosu.

— Możeby tak pan poseł Grzybek? — zdopingował Makomaski.

Chłop rosły, ogorzały na czysto ogolonej twarzy, wstał i prześlizgnął dłonią po płowej czuprynie.

— Hm... — mruknął — Co tu można powiedzieć? — zamedytował się tak głęboko, że siedzący obok niego Ciapa, ratując sytuację, gdyż widziało mu się, że Grzybek zapomniał języka w gębie, wstał i podszepnął mu do ucha.

— Powiedźcie, pośle, że te huncwoty chłopi wcale się uczyć nie chcą i szkoda sobie niemi głowy zawracać!

— Feler cały w tym, — rzekł po namyśle Grzybek, — że na wsi brak ludzi do oświatowej pracy.

— I to racja! — potwierdził głośno Ciapa.

— Właściwie — mówił dalej Grzybek — do przemówienia pana inspektora nic dodać i ująć nie mogę! Należy tylko przyklasnąć dobrej inicjatywie.— zakończył i usiadł.

Z ławy dźwignął się Piszczałka. Chudy jak szczapa, siwawy już, wołał głosem chropowatym.

— Moim zdaniem, to, kto był głupi, to i będzie głupi! Jak by tu on jeden z drugim, huncwot, chciał, to by się i sam nauczył po polsku! Ale gadaj im! jak oni nie mają chęci do tego, co wolno się uczyć, lecz wolą...

— Zaraz! — wołał, dźwigając się z ławy Piętala. — Trzeba naród przekonywać, kiedy jest przygłupi! Uczyć się chycle tyle dadzą. Tylko o Bartosie, — jak tu pan Makomaski mówił — to o tym opowiadać nie trza, bo tego słuchać nie będą. O tym, to nie lubią.

— A cóż oni lubią? — rzucił pytanie Makomaski.

— Bo ja wiem?... — Piętala z zakopotaniem wzruszył ramionami. — Oni lubią takie różności...

— Jakie różności? — dociekał Makomaski.

— A takie rozmaite.

— Ale jakie?

Piętala, zupełnie tracąc równowagę, oglądał się w różne strony, wreszcie skinął głową ku swoim sąsiadom chłopom.

— Może tu — rzekł — który z nich lepiej wytłumaczy! — siadł na ławie. Podsunął się teraz ku Ciapie i szeptał mu w ucho:

„Jeśli się, Wojciechu nie wstydzicie powiedzieć, że nawet i co bogatsi niektórzy chłopi na panów się złoszczą, to powiedźcie!" Bo ja się wstydzę powiedzieć. Powiedzcie!—doradzał Ciapie. Lecz Ciapa ani drgnął z miejsca.

W sali powstał harmider. Panowie w kilku naraz mówili do chłopów, zachęcając ich do współpracy nad podniesieniem oświaty ludu. Po długiej bezładnej gadaninie, jednogłośnie przyjęto rezolucję o natychmiastowej konieczności rozpoczęcia pracy oświatowej na wsi. Gówny ciężar tej pracy zwalając na nauczycieli.

Zegar wydzwonił wpół do drugiej, gdy przewodniczący uznał zebranie za skończone. Panowie ruszyli ku wyjściu. Inspektor, uważając po chłopach, odwołał w korytarzu wójta i, trzymając go za rękę mówił:

— Pan wójt niech o Charciska jak najprędzej zawadzi, bo tam najgorzej się popsuło i to już od dawna. Powiedzieć temu nauczycielowi, Bałdydze, że wygoni go się na cztery wiatry, o ile nie ruszy wsi z miejsca, nie zaradzi jakoś.

Wójt przytaknął. więc uścisnęli sobie ręce i poszli każdy w swoją stronę. Inspektor skręcił w małą, ciasną uliczkę, wójt poszedł na rynek, gdzie zostawił konia z wozem.

Na świecie panowała cudowna pogoda. Niebo czyściutkie było, jakby je kto omiótł z chmur. To też słońce paliło takim ogniem, że nawet kozy musiały się pochować w cień, bo ani jednej nie było na rynku. Grzybek stanął na rynku i rozglądał się wokoło. Przeczytawszy kilka bardziej rzucających się w oczy szyldów nad sklepami winno-kolonialnymi, jeden nad apteką i jeden hotelowy, za-

trzymał wzrok na szyldzie długim, białym, z dużymi czarnymi literami, który wisiał na parterowym domu po przeciwnej stronie rynku. Poskładał w myśli litery na szyldzie w słowo: Restauracja. Spoglądał na szyld restauracji, to na konia, który jeden jedyny stał na rynku przy wozie i z upału kiwał łbem, niepokoił się, chlastając bezustannie ogonem, to bijąc nogami w podbrzusze, gdzie najbardziej musiały go kąsać muchy.

— Co tu począć? — zastanawiał się chwilę Grzybek. Rad był coś przekąsić, a żal mu było konia, któremu zresztą mogło zbrzydnąć to bezustanne szastanie ogonem i wierzganie nogami. Mógł poprostu któryś tam raz ostatni machnąć ogonem na ślepskie muchy, urwać się z uwięzi i uciec gdzie mu się podoba. Przez głowę Grzybka przemknęła myśl, że i tak koń głupi „Bo na jego siłę — pomyślał Grzybek — wystarczyłoby szarpnąć łbem i... wolny".

Medytując tak i owak nie mógł się zdecydować na żaden krok. Tymbardziej, że Ciapa, Piętala i Piszczałka, gdy on stał z inspektorem, musieli już odjechać, bo ani ich śladu. Zresztą i panowie również uciekali z miasta. Bryczka za bryczką wytaczała się z podwórza Syndykatu Rolniczego, terkotała chwilę po kocich łbach na rynku i ginęła to w tej, to w innej bocznej uliczce. Grzybek namyślił się wreszcie i poszedł do restauracji. Aby jednak nie długo bałamucić, kazał sobie odrazu pół szklanki wódki nalać. Wypił, przekąsił ćwierć kilo salcesonu, zapił piwem, zapłacił i poszedł do konia. który, gdy go przy sobie zobaczył, stęknął głucho, a odwróciwszy czarny łeb, spojrzał takim wzrokiem na Grzybka, jakby chciał powiedzieć: „Nareszcie się domyśliłeś"! Rad, że już będzie mógł uciec od Ślepeckich much, koń, jak nigdy zwyczaju nie miał i zawsze go trzeba było choć trochę do orczyka dosuwać, cisnąc postronkiem w zadnie udo — teraz sianął równo przy dyszlu, aby już nie bałamucić czasu. I po chwili żwawo toczył za sobą wóz, który dzwonił obręczami po kamieniach, aż w uszach lepło od terkotu. Rychło miasto pozostało w tyle.

Wódka podochociła Grzybka, to też świat widział mu się błoższy i z większym niż zwykle sensem, a wójtowska władza spotęgowała się w nim po wielekroć. Czuł się niezastąpiony i bardziej ważny od samego starosty. „W czemże mi taki starosta dorówna?" — podwyższał się dumnie już na polskiej drodze za miastem, gdzie i koń szedł wolno po piachu i wóz toczył się cicho, jak na gumach. „Cóż on tu znaczy! — poniżał starostę. Z ludem styczności ani takiego zaufania — jak ja — u ludu nie ma" — mruczał. Beze mnie z miejsca nie ruszy. To cóż takiego jest? Jedynie kary ma prawo większe pisać i tyle.

— W i e! — podciął konia, gdy koła stuknęły na twardszej drodze.

Mijając po pół godzinnej jeździe Charciska, których czubki chałup widać było z drogi, Grzybek przypomniał sobie nagle słowa inspektora. Przyszła mu ochota odrazu załatwić z Bałdygą, więc skręcił z drogi i podjechał do wsi.

Zastał Bałdygę czytającego książkę przy drodze w cieniu pod jabłonką. Nie mając zamiaru długo bałamucić, opowiedział z woza o co chodzi. Mówił spokojnie, ale przed odjazdem bardziej urzędowo nastroił głos.

— Tylko bierz się pan odrazu! — rozkazał, a jednocześnie targnięciem lejc dał koniowi znać, by ruszał z miejsca — Bierz się pan odrazu! Bo to żartów ma z tego nie być! — wołał ruszając z miejsca — Tu lada dzień kontrol zjedzie! — krzyknął już z oddalenia dwudziestu kroków i pojechał.

Bałdygę ta nowina mocno zmartwiła. Akurat rok temu miał zatarg z inspektorem o to, że nie prowadzi we wsi żadnej działalności wśród starszych. A przecież próbował. I to po wielekroć, z uporem. Lecz cóż miał począć, gdy chłopi wręcz oświadczyli, aby im głowy nie zawracał? Czuł dobrze, że obecnie powiedzą mu to samo. To też długo medytował jakby wybrnąć z sytuacji i uniknąć zatargu z inspektorem. Obmyślał tematy, które przyciągnęłyby chłopów na zebranie. „O gwiazdach? — zastanawiał się Bałdyga. Nie! To za poważny temat i dla chłopów niepożyteczny, więc i nie ciekawy. O rolnictwie? O tem wiedzą sami lepiej ode mnie, a nie wierzą w żadną poprawę. To też na nic! O polityce by można... Ale o jakiej? Zresztą uchwała nie o polityce mówi, lecz o oświacie. Więc o czym by tu?... o czym? Choćby coś na początek? Żeby się choć raz zebrali? — mozolił się ciężko Bałdyga. No i powoli znalazł temat. Zdecydował opowiedzieć chłopom o Gdyni. Bo właśnie korzystając z tego, że na początku maja dach się nad szkołą zawalił i musiał na dwa tygodnie przerwać lekcje. pojechał nad morze. Ponieważ temu i owemu chłopu mówił o swoich nadmorskich wrażeniach i ciekawie słuchali, zdecydował opowiedzieć o tem całej gromadzie.

— „Lubią — myślał — słuchać co się gdzie dobrego robi, to przyjdą. A jak się rozochocą, to może jakoś będzie. Może przynajmniej na tymczasem zapisze się z kilku do koła oświatowego i będzie ślad, że próbowałem działać".

Ułożywszy sobie kolejno tok opowiadania. zwołał pod wieczór zebranie, na które nadspodziewanie dużo ludzi przybyło. Gdy chłopi z kobietami zasiedli w ławkach, Bałdyga wszedł na katedrę i przemówił.

—Zapadła, moi obywatele, uchwała w Ślepsku, że musicie być koniecznie narodem światłym.

— A to, niby, — przerwał Bałdydze chłop siedzący w pierwszym rzędzie — musowo będzie się uczyć, czy jak?

— Musowo! — obces potwierdził nauczyciel — i mówił dalej — Musicie się wyuczyć, abyście wiedzieli, ma się rozumieć, gdzie jest jakie morze i tak dalej. To znów gdzie Francja, a gdzie Chiny. Słowem, co się gdzie święci.

— A to ciekawe! — rzucił ktoś ze słuchaczy. Tylko — dodał — z tego nie będzie nic!

— A to dla czego? — spytał zakłopotany Bałdyga. Okrągłe i rumiane policzki nauczyciela przybladły, w oczach odbił się niepokój. — A to dlaczego, obywatelu Niezgoda? — powtórzył, i w nerwowym oczekiwaniu na odpowiedź, dolną wargą dwakroć zmył czarne, krótko przystrzyżone wąsy.

Niezgoda powoli dźwignął się z ławy. Przetarł najpierw palcami oczy, jakby sen odpędzał, potem jeszcze całą dłonią zgarnął od czoła po twarzy w dół mocno, aż płowe wąsy przykleiły się końcami do brody, chrząknął i odpowiedział:

— Nie będzie z tego nic, bo za dnia to przecie pan uczy dzieci. A na wieczór, to znów nikt nie będzie codzień przychodził. Bo uważa pan, jak się śpi, to się śpi. A jak się siedzi, to się chce jeść. Więc trzeba by jaką kolację zjeść, a tu nie wystarcza. Siedzimy tu może z pół godziny i jeszcze przecie nie noc, a słyszę, że burczy ludziom po brzuchach, jak by kto po basetli smykiem dudlił.

Huraganowy śmiech zagłuszył dalsze słowa Niezgody. Gdy śmiech ucichł, nauczyciel mówił nerwowo i głosem strapionym.

— Obywatele! Tak to na nic! Zaraz śmiech! Ja tu, ma się rozumieć, całkiem poważnie. Uczyć się musowo. Kulturalne narody lepiej żyją. Nie jak Chiny. Rosja taka, ma się rozumieć, i ta się cywilizuje. Cały świat. Więc i Polska. Siedzicie tu we wsi i nie wiecie, co się robi. A robi się! Cały świat się buduje, więc i Polska, ma się rozumieć. O Gdyni tu powiem. Więc, ma się rozumieć, buduje się cały świat, to i Polska. Ale powoli i po porządku. Od brzega. Więc budują Gdynię, która przy brzegu nad samym morzem stoi. Wioska licha doniedawna była. A teraz okręty towary nasze i obce wożą. Domy wielkie, murowane, blachą i papą niepalną kryte. Ulice, ma się rozumieć, gładkie asfaltowane. Elektryczność, gaz, kanalizacja, ma się rozumieć... I....

— Hola! — zawołał chłop ze środka gromady, dźwignął się pod sam pułap rosły. — Daleko też to od nas do tej Gdyni, czy jak ją tam zwać? — zapytał.

— Daleko? Będzie czterysta kilometrów, obywatelu Jechuda.

— A jak też szeroko i długo ubudowali tej Gdyni przez te lata co Polska jest? — spytał Jechuda.

— Na szerokość z wiorstę, a na długość ze dwie odpowiedział Bałdyga i chciał dalej mówić. Lecz Jechuda zygnął teraz ręką w róg izby i zawołał.

— Michał! Ty potrafisz szybko rachować, to policz no, za ile to lat do nas doleci ta budowa, jak przez siedemnaście ubudowali wszerz kilometr, a w podłuż dwa. Tak mniej więcej policz, boć ta o rok — dwa to się nie rozchodzi.

— Ależ, obywatele! To nie tak! — próbował perswadować nauczyciel. Lecz teraz całą gromadą wrzeszczano, aby Michał policzył.

Zanim się jako tako uspokoiło, Michał podał liczbę.

— Tak mniej więcej, to wypadnie za jakie trzy tysiące lat.

— O! O! O! — gromada, jak stado wilków, zawyła. Umykali ze szkoły, mało się we drzwiach nie podusili. Jechuda wrzeszczał najgłośniej.

— Widzita jak to mami?! Ciągle te baje i baje dookoła! Tam raj, i tam raj! Tylko w Charciskach coraz gorzej!

— A toście go, Jechuda, przystarli! Cha, cha, cha... — dudniał śmiech.

Co do jednego uciekli ze szkoły.

Bałdyga utopił twarz w dłoniach i zasępił się nad swoim losem, medytując, czy uda mu się wywinąć z tarapat, czy też straci posadę.

Wł. Kowalski

WYDARZENIA I DOKUMENTY

CZEGO CHCĄ MASY LUDOWE?

W *Robotniku, Dzienniku Popularnym, Kurierze Polskim, Wieczorze Warszawskim* i w *A. B. C.* zamieszczono uwagi znakomitego artysty, Stefana Jaracza, o dzisiejszej postawie uświadomionych politycznie mas ludowych. Oto ważniejsze wyjątki:

„W lecie minionego roku zwiedziłem różne strony kraju, zatrzymując się dłużej w rodzinnych okolicach Małopolski zachodniej i środkowej. To, co zobaczyłem, napełniło mnie obywatelską dumą. Zobaczyłem nowe pokolenie chłopów, obywateli świadomych swoich obowiązków wobec ojczyzny, ale także swoich praw, których nieopatrznie ich pozbawiono. Wyzucie chłopów z praw politycznych jest krzywdą, wyrządzoną ludowi, ale przede wszystkim państwu polskiemu, którego lud jest podwaliną i ostoją.

„Szli do mnie chłopi gromadnie, starzy, w sile wieku i całkiem młodzi i stawiali mi pytania, które napawały mnie dumą z dojrzałości obywatelskiej polskiego ludu i z jego przywiązania do ojczyzny. Rzecz ciekawa, prześlizgiwano się lekko po dolegliwościach i bolączkach codziennego życia, po wysokich cenach zapałek, cukru, nafty, trochę więcej mówiono o reformie rolnej, ale w masie — zainteresowanie chłopów wybiegało daleko po za te sprawy niewątpliwie ważne i im wiadome, ale nie decydujące o wolności politycznej i obywatelskich swobodach.

„Chłopi pytali mnie, kiedy zostanie im przywrócone prawo głosowania do parlamentu i wybierania swoich posłów, kiedy zakończy się wszechwładza administracji państwowej, kiedy zostaną oni współgospodarzami w ojczyźnie. Pytano mnie z niepokojem o Gdańsk, o stosunki z Niemcami, interesowano się sojuszem z Francją i przyczynami zatargu z pobratymczą Czechosłowacją.

„Rosło mi serce, gdy słyszałem chłopów zatroskanych o losy Polski, tak jak dobry gospodarz troszczy się o losy swego gospodarstwa.

„Otwórzcie przed nami drzwi do państwa, któreście zatrzaśli, przywróćcie nam prawa polityczne. My nie chcemy rządzić krajem, ale my chcemy sprawować kontrolę nad tymi, co rządzą. Przecież każdy rachunek rządu my płacić musimy mieniem i krwią".

„Te proste słowa szybciej i prędzej, aniżeli najbardziej uczone wywody, oświetliły mi jak błyskawica rzeczywistość polską. Chłop polski jest źródłem siły i potęgi państwa. Na wsi bije krynica ożywczych mocy, idących na kraj w każdej dziedzinie życia. Bez chłopów nie można budować Polski silnej, nie podobna podciągać jej wzwyż.

„Chłop polski nie chce żadnych eksperymentów politycznych, nie chce faszyzmu ani bolszewizmu, chłop pragnie demokracji parlamentarnej i swobód obywatelskich. Mnie się wydaje, że to jest właśnie ten złoty środek, przez zakłamaną propagandę opluty i znieważany, a mimo to gorejący jasnym światłem nadziei nad masami polskiego chłopstwa i całego świata pracy.

„Ścigane wyrzutami sumienia dyktatury pędzą w nieznane, a za tę gonitwę płacić muszą narody. Kończę wezwaniem chłopstwa z ziemi krakowskiej:

„Otwórzcie chłopom wszystkie drzwi do państwa".

ZA KULISAMI TRAGEDII HISZPAŃSKIEJ.

Na łamach paryskiego *Vendredi* ogłasza znany publicysta francuski, Charles Reber, dokumenty, które wprowadzają

nas za kulisy wojny domowej w Hiszpanii.

Z dokumentów tych wypływa niezbicie, że na długo przed lipcową rewoltą, na długo nawet przed lutowym zwycięstwem hiszpańskiego Frontu Ludowego, mocarstwa popierające generała Franco przygotowały plan rozbioru bogactw kopalnych Hiszpanii.

„Plan kolonialny" opracowany został w kwietniu 1935 r. przez „Metallgesellschaft", potężne towarzystwo finansowe z siedzibą we Frankfurcie nad Menem. Prezes towarzystwa, dr. Alfred Merton, jest jednym z najbliższych zauszników kanclerza Hitlera. „Metallgesellschaft" ma udziały w całym niemal ciężkim przemyśle niemieckim, przemyśle chemicznym („I. G. Farben") i metalowym.

Otóż w kwietniu 1935 r. „Metallgesellschaft" utworzyło konsorcjum bankowo-przemysłowe dla eksploatacji kopalń hiszpańskich. Do konsorcjum przystąpiły: towarzystwo „Kloenne", trust „Rheinmetall" z Düsseldorfu„ „Siemens und Halske", wytwórnia broni „Vulkan" i „Krup" z Essen oraz trust chemiczny „I. G. Farben".

Ryzyko korsarskiego interesu postanowiono zmniejszyć, dzieląc je ze wspólnikiem. Spółka zaproponowana została Italii.

Ofertę niemiecką przywiózł do Rzymu A. Serrao, potentat finansowy i przedstawiciel Rockfellera we Włoszech. Sprawą zainteresowali się: generał Ingiani i Guido Mazolini, dostojnik z pałacu Chigi.

Sprawozdanie z przygotowań zamierzonej spółki zostało w końcu przedstawione „Federacji przemysłu włoskiego", a jednocześnie najwyższym władzom partii faszystowskiej.

Organizacja włosko-niemieckiego konsorcjum dla eksploatacji kopalni hiszpańskich szła sprawnie i szybko. Włoskie towarzystwa ubezpieczeniowe okazały gotowość finansowania imprezy, obliczonej na 20.000.000 lirów rocznego zysku.

Ułożono dwanaście planów eksploatacji.

Pierwszy dotyczył węgla i asfaltu w Walencji Aleantara, w prowincji Caceres. Pokłady te leżą w miejscowości Barrera de la Tinta, rozciągając się na przestrzeni 40 hektarów. „Przypuszczalnie znajduje się tu również nafta" — mówi raport.

Raport drugi, liczący 38 stron maszynowego pisma, jest drobiazgowem studium nad gospodarczą i militarną wartością pokładów węgla brunatnego w Aragonii. Jest tam mowa o kopalniach „Lignito de Isabena" w prowincji Huesca. Próbki węgla poddane zostały analizie w Niemczech. Raport podaje, że kopalnia „Isabena" może dać 20 milionów tonn węgla brunatnego.

Militarne znaczenie tej kopalni jest jasne: przez proces dystylacji węgla brunatnego. „I. G. Farben" otrzymuje namiastkę benzyny. Kopalnia dostarczałaby tedy paliwa dla okrętów, samolotów i łodzi podwodnych Rzeszy.

Raport trzeci i następne aż do dwunastego traktują o zamierzonej eksploatacji miedzi, rud żelaznych, grafitu. Próbki wszystkich minerałów poddane zostały analizie w Niemczech, wykazując wysoką swą wartość.

Rokowania niemiecko-włoskie były ukończone; plany wszelkie wraz z szczegółową rejestracją kopalni hiszpańskich gotowe były w chwili, gdy odbywały się wybory na półwyspie.

Oczekiwano zwycięstwa Gil Roblesa.

Zwyciężył Front Ludowy, którego program przewidywał upaństwowienie kopalni.

W lipcu wybuchła rewolta Franco.

CONAJMNIEJ CZWORO.

Oryginalne formy przybiera w trzeciej Rzeszy propaganda jaknajwiększej liczebności rodzin i troska o przyrost ludności.

Oficjalnie polecono wszystkim artystom, aby na swych obrazach czy rzeźbach przedstawiali w przyszłości rodzinę niemiecką co najmniej z czworgiem dzieci. Obraz, rzeźba, czy plakat, wyobrażający rodzinę z dwojgiem a nawet trojgiem dzieci — urąga zasadom rasowym hitlerowskich Niemiec. Rodzina niemiecka powinna bowiem liczyć co najmniej czworo dzieci.

Portretowanie bezdzietnych lub „małodzietnych" rodzin będzie w ogóle wzbronione.

WSPANIAŁA KONIUNKTURA.

Ukazał się tom dwunasty statystyki handlu bronią i amunicją, ogłoszony przez Ligę Narodów. Owe doroczne sprawozdania są bodaj jedynym pozytywnym rezultatem prac sekcji rozbrojeniowej Ligi Narodów. We wszelkich innych pracach poniosła Komisja Rozbrojeniowa klęskę.

Dane o międzynarodowym handlu bronią nie są pełne. Opierając się na oficjalnych sprawozdaniach, nie obejmując kontrabandy. Włochy zaopatrywały potajemnie w broń Węgry. Tą samo drogą zaopatrywano faszystowskie bojówki Heimwehry w Austrii.

Genewska statystyka nie obejmuje też transportów broni na Daleki Wschód, czy dla powstańczych Riffenów w północnej Afryce. Nie będą też figurowały transporty broni dla stron walczących w Hiszpanii.

Mimo tych braków sprawozdania genewskie są jednym z najbardziej znamiennych dokumentów XX wieku.

W ciągu ubiegłego siedmiolecia handel światowy coraz silniej kurczył się i zwężał. Jedna tylko dziedzina tego handlu nie poddaje się ciosom kryzysu i doznawszy pewnego spadku w ciągu 1930 i 1931, zaczyna od roku 1932 doskonale się rozwijać. Dziedziną tą jest handel międzynarodowy bronią i amunicją. Od roku 1932 obroty handlowe bronią wzrastają bez przerwy.

Od października 1935 Włochy i Niemcy przestały ogłaszać statystykę handlu bronią.

Z LIGI OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA.

Decyzją z dnia 15 grudnia 1936 r. Starostwo Grodzkie w Lublinie zawiesiło działalność lubelskiego oddziału Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Zarząd Oddziału w Lublinie wniósł od powyższej decyzji odwołanie, w którym odpiera dwa zasadnicze zarzuty wysunięte przez władze administracyjne: 1) zarzut dopuszczenia do prac komisji Obrony Pokoju w lipcu 1936 r. osób nie będących członkami Ligi i 2) twierdzenie władz administracyjnych, że „działalność Ligi wiązała się z akcją wywrotową".

ICH „PATRIOTYZM".

Jak wiadomo, gen. Franco, wzniecając wojnę domową, rozpoczął ją od sprowadzenia na ziemię hiszpańską wojsk obcych. Czym jest patriotyzm w pojęciu tych, którzy właśnie gen. Franco i jego kohortę uważają za stronę „narodową"? Jak w normalnym umyśle mogą się pogodzić zasady patriotyzmu ze sprowadzeniem do ojczyzny wojsk marokańskich, a potem Niemców i Włochów?

Strona druga korzysta również z pomocy obcej, do czego zmusił ją gen. Franco, do którego należy pierwsza w tej mierze inicjatywa. Gdyby się uważało, że rząd madrycki powinien był raczej dać się zwyciężyć, niż korzystać również z pomocy obcej (pogląd w tych warunkach niedorzeczny!), w takim razie musiałoby się obydwie strony uznać za niepatriotyczne. Lecz awansowanie haniebnego czynu gen. Franco do rzędu zasług „narodowych" jest już najkrańcowszym wypaczeniem samego pojęcia patriotyzmu.

I pomyśleć, że właśnie nasi „narodowcy" tak wielbią znakomitego „patiotę", gen. Franco!

Patriotyzm domaga się obrony przed nacjonalistyczną międzynarodówką, która wypacza najelementarniejsze normy i zasady myśli patriotycznej.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wojciech Skuza: Fornale. Nowy poemat wsi. Łódź 1937. Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa chłopska".

Dr. Stanisław Łempicki: Polskie tradycje wychowawcze. Warszawa 1936. Nakładem „Naszej Księgarni" Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Jan Czekanowski: Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. Katowice 1936. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego.

Jerzy Bock: Nauka domowa i wyjątki z agendy. Opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1936. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego.

Karol Piotrowicz: Plany rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec średniowiecza. Katowice 1936. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego.

Ludwik Musioł: Materiały do dziejów Wielkich Katowic (1299 — 1799). Katowice 1936. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Skł. Główny: Warszawa „Nasza Księgarnia".

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na I-y kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3401 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.